Rozmaitości

Dnia 1. września **Nr 35.** 1838 roku.

O DWUNASTU

RÓZBÓJNIKACH.

Powieść z gminnego podania.

Ze zbioru powieści gminnych wielko-polskich,
w rękopisie.

I.

Nadobrzańskie okolice miejscami cudnie są piękne. Po wzgórzach nie dostrzeżesz ani latową porą, ani z początkiem jesiennéj śladu owéj rzéki, która z wiosną na dobry rzut oka zalewa okolicę. Bite kanały ściągając ostatek wody w swe łoża, odkryją ci przepyszne widoki. Trawnik nieprzejrzany okiem, obwiany lekkim wiatrem i wonią macierzanki, posiany barwistém kwieciem miłe zmysły przynęca i łechce. Na nim obrazy, jakie z rozkoszą odbije w swojém źwierciedle tkliwe i rozmarzone serce kochanków; smętna, zbolała dusza nieszczęśliwego, a nawet prozaiczna myśl ekonomisty.

Tutaj kilku kosiarzy docina reszty potrawu; już im też czas odpocząć. Snać od dni kilku pracują, bo pot kroplisty rosi im czoła, bo kosy stępione ciąć nie chcą; więc raz po raz postaną, przeciągną krzyże i w takt poostrzą żelaza. Owdzie na posiekówku bydełko niby ulane spoczywa, i szérokim językiem zmywa boki, na których kroplaby wody nie została; a źrebce wietrzniki pląsają na przegon ze sobą.

Stado owiec biega pod lasem za trawką, która się tu i owdzie zbłąkała; a barany podzwaniają na przodzie.

Tysiąc innych obrazów odmalowałbym po wyżynach obrzańskich; drugie tysiąc jeszcze rozmaitszych ujrzysz przy spadkach, przy kotłach rzéki. Tutaj woda nie da się ująć w kanały, ale rozlana w lewo i prawo, znaczy swoje granice warstwami piasku i tataraku. Najczęściéj jednak wcale jéj nie dojrzeć, bo gęste sitowie i płowa trzcina kraje brzegi i mielizny. Jesiennemi rankami ddżysta mgła wisi nad niemi; po nad mgłą przeleci czapla; czasem gra stado żórawi lub gęsi, wędrujących długim rzędem do cieplic; inne stado kaczek i ceranek zapadnie na popas, a myśliwy wnet je wypatrzy i odbije kilku towarzyszy.

Taka jest Obra dzisiaj. Dawniéj zarosła olszami, łozami, trzciną, stanowiła ciemną, bagnistą knieję; trzęsawiskami zaległą, zamieszkałą od dzikiego zwiérza i strachów! dziwne też w niektórych miejscach krążyły o niéj pogłoski! Czasem pastuszek ubogi postrzegł w gęstwinie człowieka z długą brodą, kręconemi wąsami, plugawą suknią, długim nożem u pasa; raz po raz złupiono jakie pustkowie! raz po raz zniknął podróżny, który śmiał sam jeden przeprawiać się na drugą stronę, po wązkiéj grobelce, czepiającéj się wzgórków, wijącéj się pomiędzy krzakami.

Właśnie w połowie téj grobli było ostrowie wyniosłe, suche. Na niém stał młyn wodny z ciosanego drzewa zbudowany. Strzegły go u okien żelazne kraty, u wnijścia drzwi dębowe i czujne dwa kądle. Na tyle stała szopka; koło niéj pieńki pszczół robocznych; świerki wysmukłe, kilka drzew owocowych, kilka zagonów warzywa i łączka, uśmiechająca się świeżą zielonością z ponurych cieniów kniei.

Daléj krzewiła się leszczyna między grabami. Nie raz zbiérała z niéj orzechy młynarczanka Basia, cudnego lica, wesołego serca. Usta jéj brzmiały od rana do wieczora uroczemi pieśniami; a nocą dopiéro odzywały się po swojemu słowiki; a było ich pełne ostrowie. Jeźli za pogody w niebo spojrzała, to się aż słońce zaćmiło od blasku jéj oka, nad którém były dwa łuczki hebanowe,

szorstko napięte; każdy pocisk z nich wypuszczony grzęznął głęboko w sercu! Taką ją codziennie widywały posępne drzewa i śpiéwne ptaszyny. Ale dzisiaj daremnie czekają na nią i na wesołe pieśni. Ojciec i matka poszli dzisiaj na jarmark; Basia sama doma została. Siadła do kądzieli, sukała wrzecionem, że warczało, niby cywie we młynie; a ona sobie duma, rozmyśla. W samotności dziwne rzeczy na myśl przychodzą. Więc jéj się też przybaczyły owe powieści pastérskie o ludziach wąsatych, z długiemi brody, z nożami.

Młynarz słynie z zamożności; u niego pieniędzy kwartami, miodu na kilka beczek i wszelkich zasobów, co nie miara! Cóż prędzéj obudzi chętkę rabusiów? Pomyślała Basia, i poszła zawrzéć drzwi sienne na rygle; ale psów zapomniała spuścić z łańcucha.

II.

Na dobrą milę od Karskiego Ostrowia ciągnął się prawym brzegiem Obry las dębowy, odwieczny, ciemny. Jedno ramię rzéki, ująwszy go w połowie bagnistym łukiem, przyciskało serdecznie do matki Obry i stanowiło wysepkę, przystępną chyba przebiegłemu zwiérzowi. Gdyby się jaki śmiały myśliwiec odważył pójść w trop za owym liskiem, który się każdą nocą skrada pomiędzy gęstwiną, ujrzałby się w najdzikszym, najskrytszym zakątku wysepki, ujrzałby przed sobą chatkę zapadłą, opodal owego liska strzyżącego uszami, chwytającego wiatr nosem, oblizującego się, jakby na zwietrzone ściérwo. Chętka drażliwa pociąga go bliżéj i bliżéj; ale go razi światło, błyszczące z okna chaty. Jeżeliś śmielszy myśliwcze, to się zbliż, zajrzyj przez okno. Zobaczysz tam w chacie stare babsko, wyschłe, wywiędłe. Z rozkoszą pogląda na sznurek czerwonych paciorek, który trzyma w drżącym ręku. Pewnie to będą prawe korale, bo im się dosyć napatrzyć nie może. Przytoczyła się wreszcie bliżéj do komina, wzięła od ognia garnek wrzącéj wody, wylała go na miskę i wrzuciła w nią sznurek czerwonych paciorków. Zrumieniła, zaczerwieniła się woda, a sznurek paciorków zbladł jak mléko, bo się z nich zmyła krew skrzepła, i z owych prawych korali zrobiły się prawe perły!

W téj chwili zawarczały dwa brytany u progu. Zakołatano do drzwi; stara je otworzyła; wszedł do izby człowiek sążnisty, okryty dziadoskiemi łachmany i zrzucił je na ziemię; za nim weszło innych jedénastu. Brytany poskoczyły ku piérwszemu, wspięły się na jego piersi, polizały jego ręce i legły u drzwi, bijąc w ziemię potężnemi kitami.

»Cóżto chłopcy, tak prędko z jarmarku?« zapytała stara.

»Będziemy mieli lepszy jarmark, matuchno,« odpowiedział piérwszy zbójca; »młynarz z Karkisza jest w mieście z babą; doma została tylko córka, tam pieniędzy huk; na jarmarku człek zarobi mało, a ma strachu dużo!«

Stara kiwała głową, odradzała jak mogła, że na Karkiszu mocne drzwi i kraty, że na Karkiszu złe kądle, z którémi żartować darmo. Więc na kraty chwycili rabusie pałki, a zgwiznęli brytany, godne zapaśniki dla kądlów.

Spieszno idą gęstwiną. Snać, że świadomi drogi, bo chociaż noc już zapadła, oni postępują pewnym krokiem, jakby po bitym gościńcu; bo chociaż bagno trzęsie się pod ich stopami, na dobre pół staja w około, oni skaczą z kępy na kępę, lekko a hyżo, jakby zrodzeni śród błót tych. Za godzinę słyszą już szum wody przed sobą na ostrowiu. Turkotu kół nie słychać, więc młynarz jeszcze nie wrócił, powróci jednak co chwila.

»Trza się zwinąć z robotą!« wrzasnął najstarszy i poskoczył naprzód. Kądle zaszczekały gwałtownie; ku nim przypadły brytany, stanęły jak wryte, wyszczérzyły zęby; zgrzytają i warczą tylko: ale walki rozpocząć nie chcą, bo nie miały jeszcze takich przeciwników! Kądle śmiałe na swoich śmieciach, rozpocząć jéj nie mogą, bo mają na karku twarde obróże i grube łańcuchy. Więc patrzą obustronnie na siebie z najéżonym grzbietem, z wytężoną kitą.

Widać z zaiskrzonych oczu zbójcy, że się za swoje psy wstydzi; z tém większą tedy gwałtownością uderzył w dębowe drzwi pałką. Zadrzały szyby w oknach, ale drzwi nie zadrzały. Podwojono razy, połączono siły wzajemne; napróżno wszystko!

»Kiedy nie drzwiami, to pode drzwiami!« zawołał rabuś i wnet zaczęto wyważać potężne kamienie i ziemię wygarniać z pod proga. Co chwila powiększa się otwór, a przy nim wzrasta kupa ziemi.

»Ja się już wmieszczę, koledzy!« rzekł najszczuplejszy ze wszystkich; włożył głowę, wlazł do połowy; drgnął na raz, cofnął się

trochę, wierzgnął nogami; ale znowu popełznął i wlazł szczęśliwie!

Za nim się drugi bez zwłoki pakuje; temu trudniéj, bo grubszy; wcisnął się jednak do połowy, drgnął na raz, wierzgnął nogami, potém wlazł także.

Za nim trzeci, czwarty, aż do ostatniego dowódzcy, któremu dziwno bardzo, że się każdy w połowie na chwilę zatrzymał. Ostrożnie tedy głowę pod próg podkłada, podnosi oczy w górę, aby zajrzéć do sieni. Zajrzał, cofnął się nagle — zapóźno! już mu strumień krwie trysnął z po nad czoła, zalewał mu oczy, ściekał na opadłe wąsiska, na suknią plugawą. Daremnie ręką oczy przeciéra; nie tak prędko zabraknie krwie w jego ciele, więc coraz hojniéj płuży z szérokiéj rany, wyciętéj na czaszce. Przewiązał chustą głowę, pogroził ściętą pięścią młynowi; zabełkotał słów kilka, a każde słowo piérwéj nim z ust wyszło, skąpało się we krwie już skrzepłéj. Bez zwłoki rzucił się potém między zarośla. Brytany poszły w trop za nim; zawyły przeraźliwie, bo poczuły krew pana swojego.

Chwilę jeszcze słychać było chrzęst łamanych gałęzi. Potém cicho — noc zaszła głęboka; księżyc spokojnie, pogodnie, jak owéj piérwszéj nocy w rajskim ogrodzie, poglądał z nieba na ziemię. Nie jednę widział zbrodnię; nie jednemu opruszył snami błogiemi skroń uznojoną, nie jednemu oświécał ciemną ścieżkę życia w téj tu ziemskiéj wędrówce.

III.

»Bogu dzięka, że aby noc jasna!« rzekł młynarz do żony, powracając z jarmarku.

»Chciałamcić ja za dnia jeszcze wyjść z miasta, kiedyto u ciebie statku nié ma!«

»Moja kobiéto, bo to tam widzisz był ten i ów, a człek z biedą kogo zobaczy, to się też raz chce i zabawić!«

»Tak, tak, a Basia czeka od rana, sama jedna!«

»Dyć ja to widzisz dla Basi zostałem aż do wieczora w mieście. Był tam Stach z Łobza, a on się Baśce zaléca i chciałby ją pojąć.«

»Nie dla psa, kiełbasa!« mruknęła młynarka, »mnie wróżono, że do Basi zajeżdżać będą szóstkami w złocistych karétach. Nie darmom ją też dzieckiem w mléku kąpała, nie darmom jéj zbiérała śnieg marcowy do mycia!«

»Nie pletłabyś kobiécino! kiedy ci dobrze na Karkiszu, będzie też dobrze i twemu dziecku. Że Stacha gracki młynarczyk, oddam mu młyn w dobrym stanie i spocznę na stare lata. Czasem się też kamieni pokuje, które ojcu mojemu i mnie chléb dawały, a będzie nam wszystkim dobrze Marysiu!« Byłby dłużéj gawędził rozmarzony miodkiem Szymon, ale mu przerwało mocne psów szczekanie.

»To Murzyn!« rzekł, słuchając z uwagą, »a on na wiatr, ani na słońce nie szczeka!« Przyciągnął mocniéj pasa i przysporzył kroku.

»*A słowo stało się!*« szepnęła młynarka i pocznie odmawiać paciérze.

Ledwie trzeci kończyła, kiedy już byli u młyna. Psy, wyciągnąwszy łańcuchy, najeżały grzbietów; księżyc właśnie za drzwi zachodził i oświécał rozkopaną jamę, z okien nie widać światła.

»Źle żono, złodzieje!... Baśko!« wrzasnął młynarz gwałtownie.

»Tatynku! tatynku!« odpowiedziano z sieni, zaskrzypiały wrzeciądze, drzwi się z jękiem rozwarły.

Młynarz, stąpiwszy na próg, uskoczył w tył, jakby mu kto oczy warem zachlusnął. »Chryste Jezu! co to jest! trupy! kto pomordował?«

»To ja, ojcze! ja! Oni przyszli, podkopali próg, właziłi, jam toporkiem ucinała głowy!« wyjąkła u nóg ojcowskich w półmartwa Basia.

Stary pokiwał głową, przetarł oczu, jakby ze snu zbudzony, i nie uwierzył własnym oczom, aż się dotknął trupa i zobaczył, że zimny, że głowa gdzie indziéj, a ciało gdzie indziéj. Zamyślony poszedł do izby, oparł głowę o piec. »Jak to było?« zapytał.

Basia poczęła opowiadać, jak Murzyn na złodziei zaszczekał, jak się pode drzwi podkopywali, jak ona, chcąc się schować w komorze, zobaczyła tam topór ciesielski. Jak nim wszystkie głowy poodcinała, a trupy wciągała do sieni; jak jeden uciekł, bo go źle trafiła!

»Jeden uciekł?« mruczał młynarz pomieszany; »chwała Bogu! ale świat nie powinien wiedzieć, że reszta na Karkiszu zabita! Złym ludziom i nieprzyjaciołom dogodziłoby się nie lada. Ja mieszkam na pustkowiu — u mnie ludzi pomordowano!«

»Boże zlituj się!« wołała załamując ręce młynarka.

»Ciszéj kobiéto! poszłabyś lepiéj drzwi sienne zaryglować i przynieść z komory trzy rydle; w sieni ich zakopiemy!«

Przy świetle latarni zaczęto kopać grób w milczeniu; czasem je łkanie Basi przerwało, czasem zadzwonił rydel o kamień uderzony. Potém weń wrzucono jedenaście trupów, potém jedénaście głów osobno!

Nie wiem, czy tam każdy w dniu Zmartwychwstania trafi do swojéj?

Dwa sążnie głęboko schował się czyn krwawy przed światem; ale się schować nie mógł przed młynarską rodziną. Ona się wszystka zmieniła. Stary Szymon, często zamyślony, mniéj mówił niż zwykle. Młynarka ledwie raz na dzień rozpowiadała córze o owych wróżbach staréj kobiéty, bo już sama o nich wątpić zaczęła. Basia więdła codziennie jak kwiatek w jesieni, kiedy go szron zwarzy. Jéj oczy we łzach pływały; już nie potrafi podbić niemi serca owego pana w bławatach, w złocistéj karecie. Ona wszystko zrobić gotowa, byle dłużéj na Karkiszu nie zostać. Tak jéj tam okropnie, tak straszno, że się śród białego dnia własnego lęka cienia. Napróżno młynarczyk z Łobza zachodzi do niéj skwapliwie; onby z nią w posagu Karkisz odebrał, a onaby na Karkiszu umarła.

IV.

Tak dwa lata minęły; trzeciego lata w dzień skwarny, w samo południe, przejeżdżał powóz cztérokonny groblą obrzańską. Przed młynem zatrzymały się spienione konie. Basia wyszła przede drzwi. Jakiś pan prosił o świeże mléko, a wypiwszy przyniesione, pogłaskał Basię po twarzy i rzekł: »Jutro z powrotem wstąpię do was i zapłacę!«

Widziała i słyszała to młynarka, polewając na bielniku płótno. Nuż więc do męża z dobrą nowiną; nuż powtarzać wróżby staréj kobiéty co do joty. Nadzieja, konająca od dwóch lat prawie, znowu odżyła w jéj duszy. Całe poobiedzie uprzątała izbę; całą noc śniło jéj się o córce, jak była wielka panią, jak jéj się wszyscy kłaniali, fraszka pani ekonomowej z Niedźwiad, u któréj za młodu była piastunką.

Nazajutrz koło podwieczorku zajechała karéta przed młyn. Ten sam pan, co wczoraj pił mléko, wszedł do izby, pochwalił Pana Boga, przeżegnał się święconą wodą z kropielniczki, wiszącéj nade drzwiami i zapytał o zdrowie.

»Bóg zapłać panu!« odpowiedziała młynarka i podała mu zydel czerwono malowany z żółtemi kwiatami.

Na gościnności nigdy u nas nie zbywało; więc też i Basia zakrzątnęła się z rozkazu matki około podwieczorku. Nakryła stół bielizną, zastawiła sera, masła i pszennego chleba, a młynarz zeszedł do sklepu po gąsiorek lipcowego. Wszyscy byli radzi gościowi, tylko kądle warczały i patrzały z podełba na niego.

Pan był przystępny, rozmowny, więc mu stary gawędził o tém co było, a wszystko było lepiéj niż dzisiaj. Zdaje się jednak, że gość tylko pół-uchem słucha, bo coś okrutnie córce w ząbki zaglądał. Snać sobie w niéj upodobał, bo aż do samego wieczora został we młynie i przyrzekł wkrótce znowu przyjechać.

Co za szczęście dla matki! już teraz nie wątpi, nie wątpi! I do prawdy też powrócił pan bławatny po dwóch tygodniach, wszedł jak po dawnéj znajomości do młyna, padł starym do nóg i prosił o córkę!

Szymon osłupiał, zabaczył z zadziwienia języka w gębie; w tém mu młynarka dość głośno na ucho szepnęła: »Widzisz Szymonie, jam dawno powiadała: to przeznaczenie boskie! Bóg cię skarze za upor Szymonie!«

»Niech się jego święta wola dzieje!« rzekł Szymon. A jeżeli do tego czasu niechętnie w dom swój wróżki i cyganki przyjmował, to od téj chwili był gotów podzielić się z niemi połową swojéj chudoby; tak mocno w ich przepowiednie uwierzył.

Młynarka skiwnęła Basię do komory i długo sam na sam z nią rozmawiała.

Młynarz naradzał się z przyszłym zięciem o weselu; onby je chciał wyprawić dopiéro po zasiewkach; może dla tego, aby się przygotować na sute i huczne gody, według swego stanu; a może też z innéj przyczyny.

Zięć przeciwnie dziś, jutro, chciałby wziąść ślub z Basią bez wielu świadków, bez hałasu; może dla tego, że ją bardzo kocha, a może też z innéj przyczyny.

Prośby i nalegania jego przemogły.

V.

O biédna, biédna Basia! nie było u niéj według zwyczaju, swatów, ani zmowin w sobotni wieczór. Ani jéj w weselną niedzielę nie wiozły na drabiniastym wozie druchny i młodzianki do kościoła. Nie zaspiéwano jéj *siadanego*. Pan młody nie wywijał na krępym koniku z czerwoną chustą i rozmarynem u bata; ale wziął ją z sobą do karéty cztéro-

konnéj, złocistéj. Na świetnym kobiercu ksiądz stułą ręce związał; nie zapowiadano ni razu z ambony. Czegoż to bowiem pan możny nie może. Biédna Basia! nie było na jéj weselu drużby przodownika; nie zatrzymał jéj nikt na krzyżówce; nikt nie podał bochenka, ani kądzieli, aby wypróbować, czy dobra z niéj będzie gospodyni. Ona dziś wielką panią; to też kto inny za nią chleba ukroi i kądziel oprządzie! Przy wieczerzy nie zdmuchnięto przed Basią świécy, a przecież dla niéj zagasło światło swobody. Żadna z młodzianek nie poszła w jéj szmatach zwodzić pana młodego; a któż wié, czy z niego będzie mąż wierny? *) Oncić prawda głaszcze Basię po twarzy; ale on także głaszcze i owe dwa kądle; a kądle warczą i nie chcą przyjąć chleba z jego ręki! Basia, wdzięczniejsza za pieszczoty pana, miżdży mu się też jak może. Szczęśliwa! już jutro Karkisz opuści.

Jutro nadeszło, minął ranek, minęło południe; koło podwieczorku płacze i szlochy we młynie. Córka i ojcowie zalani łzami, zięć się uśmiecha. Konie grzebią ziemię niecierpliwém kopytem; po chwili pędzą już z nowożeńcami przez groblę.

»Stój!« wrzasnął pan na woźnicę, zjechawszy małą drożyną do dębowego lasu. »Żono! mnie głowa boli, wyciąłem się wczoraj o wasze nizkie drzwi we młynie; popatrz jeno.«

»Ach, mój miły, co to jest? taka szrama nad czołem! czyto na wojnie, mój miły!«

»Nie, Basiu; to nie na wojnie!« rzekł i uśmiéchnął się szydersko. »To u was we młynie drzwi takie twarde, a nizkie, że aż pod progiem włazićby trzeba.«

Basia zbladła jak chusta.

»Czemu ty blada, Basiu? wszakto już rana zgojona, a gorzéj było, kiedy się z téj rany lała krew gorąca w oczy i usta!« i znowu dziko się rozśmiał.

Basia zadrzała jak listek osowy.

»Czemu ty drzysz, Basiu? wszakto tylko szrama; a lepiéj przecie umknąć ze szramą na głowie, niż bez głowy wleźć do sieni! Nie prawdaż Basiu?«

Basia blada, drząca, przypomina sobie, że dwunasty uciekł. Spojrzała na szramę; okropne przeczucie ozwało się w jéj duszy.

*) Są to obrządki weselne wielko-polskiego ludu.

»To on!« wrzasnęła, a on gwizdnął w palec i siedmiu ludzi wąsatych wypadło z pozakrzaków. Porwali Basię z karéty; krętą ścieżką pomiędzy zaroślem wlekli ją z sobą.

Za godzinę stanęli w najdzikszém ustroniu kniei; widać zapadłą chatę, słychać psów warczenie, czuć zapach trupiego ciała.

Najstarszy zapukał do drzwi, otwarły się; dwa brytany poskoczyły ku Basi; skinął pan, psy legły u drzwi.

Wszystko tu, jak przed dwoma laty. Tylko starka pochyliła się bardziéj ku ziemi i zaślepła na oczy. Przybył też może przez ten czas niejeden sznurek pereł, nie jeden trup do sklepu. I dzisiaj pewnie nowa ofiara przybędzie; bo najstarszy zbójca pomści się za swoję ranę; dokona krwawéj przysięgi.

Czoło jego tak się chmurzy od gniewu, usta tak dziką uśmiechają się radością, że aż psy stulają uszy ze strachu. Rozmyśla on teraz jakiemi męczarniami dręczyć swoję żonę; ale wszystkie, które zna dotąd, nie wystarczają mu jeszcze; więc się radzi doświadczonéj matuchny.

Ona, z piekielną radością w oku, szepce mu coś na ucho, a szepce z cicha, a w staréj piersi głos przytłumiony nie da osnowy zrozumiéć; czujne Basi ucho złowiło jednak te słowa: »P a z n o g c i e ... z a s k ó r ę z a l e w a ć.«

Trafiła widać niemi do myśli rozboja, bo rzekł: »Dobrze matuchno, dobrze! zastawcie tutaj oleju w kotle, niech się uczciwie zawarzy; a ja z kamratami pójdę do lasu nałupać smolnych drzazg i łuczywa. Pokażno paluszki, Basiu! dobry majster bierze miarę, a jakie białe, jakie miękkie — żadna się na skórze nie złamie!« I wybiegł spiesznо z innymi do lasu.

VI.

Są pono ludzie, którzy przeczuwają śmierć swoję. Dobrzy i poczciwi z uśmiechem oczekują chwili skonania. Złoczyńcy poprawiają się na krótki czas przed śmiercią, czyto z boskiego natchnienia, czy też ze strachu przed karą.

Po wyjściu rozbójników, stara grzésznica głaskała Basię po twarzy i tuliła płaczącą: »Cyt, cyt! moje dziécię!« Ale Basia wzdrygnęła się mimowolnie i wstecz cofnęła kroku, uczuwszy rękę zbrodniczą na licach.

»Nie uciekaj, moje dziécię, nie uciekaj ode mnie,« mówiła stara, »ja ciebie wyratuję; ja

ich wyprawiła do lasu umyślnie, a ciebie wyratuję! Ty mnie nie znasz Basiu? oj dawne też to lata, kiedy ja była na Karkiszu; a jaka biédna, jaka biédna! Goniono mnie jak psa wściekłego; chciano spalić jak czarownicę za to, że we dworze krwią doiły krowy, a ekonomowi postrzał się na nogi przyrzucił. Jam uciekała jak mogła, i przyszłam pewnego dnia na Karkisz okurzona, zniszczona, jak niestworzenie Boże. Tyś wtedy ledwie po raku łaziła, a twoi ojcowie dali jeść, pić, ogarnęli mnie trochę na zimę, nibyto własną matkę. Zatom się młynarce chciała odpłacić i wróżyłam, że dostaniesz bogatego męża, w złocistéj karécie; i wywróżyłam, mój Boże, na nieszczęście twoje! Ale nie moja w tém wina. Ja im odradzała jak mogła; bo twoi ojcowie, to dobrzy ludzie! Cyt, cyt moje dziécię, ja ciebie wybawię, ty taka młoda, a ja umrę. O! już em się też do syta nażyła! Dziewięćdziesiąt lat góra!«

To mówiąc wzięła Basię za rękę, wypuściła oknem, kazała uciekać lasem na prawo, na prawo! Sama siadła na pniaku przy kominie. Głowa zwisła jéj na wywiędłe piersi, długie siwe włosy rozpuściły się z przodu na pożółkłe lica — rozmyślała! Nad czém? nie poznasz, aż dopiéro kiedy się w piersi po trzykroć uderzy. Snać rachowała się z życiem swojém, bo przeczuła śmiérć swoję i poprawiła się na krótką chwilę przed śmiercią!

Rozbójnicy wrócili; najstarszy wpadłszy do izby, zapytał: »Gdzie ona?«

»Uciekła! dla Boga, uciekła!« odpowiada stara ze drżeniem; »pod kotłem okrutny ogień rozłożony, w izbie gorąco, jak w hucie; wyszłam z nią do sionki, a trzymałam za warkocz; ona warkocz urznęła i poszła w las na lewo! goń! goń! ja ślepa nie mogę!«

»Gdzie warkocz?«

»Tu, tu! wpadł w ogień!«

»Ha, jędzo!« wrzasnął zbójca i potrącił ją kułakiem; »tobie za paznogcie drzazg nawbijam, z ciebie pasy drzéć będę, ciebie w tym kotle usmażę, jeżeli jéj nie dognamy!« Przyrzucił drewek na ogień, zgwizdnął psy i puścił się w pogoń; ale nie na lewo, jak mu stara mówiła, bo psy od razu wpadły na ślad Basi, która dla pospiechu boso uciekała. Idą też za nią jak po sznurku; niby ów pies legawy, kiedy wpadnie na ślady kuropatw, które tutaj przed chwilą z jakie pół staja pieszką sobie biegły; wietrzy za niemi, prowadzi myśliwego; aż stanie nagle, podniesie nos na wiatr, pobiegnie naprzód, na lewo i prawo; a potém wraca ze wstydem do pana, bo ztąd stadko pobrało się na skrzydła.

Basia, choć skrzydeł nié ma, powietrzem nie lata, a jednak ją brytany z wiatru straciły; kręcą się w owém miejscu, skowyczą, łaszą się u nóg pana ze strachu. On zaś rozbestwiony gniewem, strzaskał im łby swą pałką.

Potém zapalony zemstą, pijany szałem, który mu krew zburzona do głowy pędziła, wraca do chaty. Dotrzyma obietnicy, dokona przyrzeczonéj zemsty, jeżeli go piérwéj ręka Sprawiedliwego nie dotknie! On nierychliwy, lecz sprawiedliwy!

VII.

Nazajutrz rankiem, o chłodzie, wyjechał sobie ubogi chłopek na drzewo do lasu. Z kluką chodził od kwiku do kwiku, obłamywał suszki, i już prawie wóz miał naladowany, kiedy upatrzył jeszcze jednę sporą odnogę, a nie wysoko od ziemi. Podchodzi tedy pod drzewo z podniesioną głową i kluką; razem opuścił ręce, oczy na drzewo wlepił, jak w tuza i począł się dziwić: »W imię ojca! a to znowu co?«

Bo też doprawdy dziwny tam widok na drzewie — kobiéta o sęk zawieszona, kiedy obaczyła pod drzewem człowieka, poczęła wołać ratunku.

Dopiéro chłopek ochłonął z przestrachu, kiedy widział, że to nie duch i nie trup; wlazł na drzewo, odhaczył kobiétę i poznał w niéj Baśkę młynarską z Karkisza. Dowiedział się od niéj, jak uciekając przed zbójcami, wdrapała się na drzewo; jak psy poginęły za to, że ją z węchu straciły; jak rabusie wracali spieszno do chaty, a potém płomień z komina na dach wybuchnął i jął się go, niby siarki, bo słońce suszyło przez długie lata słomę na dachu. Potém widziała siedmiu rabusiów, uciekających w las bez dowódzcy, i słyszała jakieś głuche jęki, bolesne! Potém chcąc złazić z drzewa, zawiesiła się na sęku i tak doczekała ranka.

Chłopek kręcił głową okrutnie, a nie wiedział czy wierzyć? zwłaszcza, że psów pod drzewem nie było. Postrzegł tam jednak świéże krwié ślady i poszedł za niemi. O kilkadziesiąt kroków od drzewa leżał jeden brytan, a za nim kilkadziesiąt leżał drugi, który zebrawszy ostatek sił swoich, chciał się przyczołgać do domu, a znalazł miasto niego tylko kupę popiołu, i zdechł przy dwóch szkieletach; jeden z tych był kobiécy, drugi męzki, z széroką szramą na czaszce. Ciało obgryzł płomień z obudwóch szkieletów!

Kilka tygodni poźniéj klekotał wiatr siedmiu innemi szkieletami na grodzkiéj szubienicy. Ani byś poznał, że to byli rabusie od Obry, którzy niedoświadczeni, bo nowi w rzemiośle, wnet wpadli w ręce sprawiedliwości, straciwszy przebiegłego dowódzcę. Darmobyś ich tam pytał, jak go stracili? darmobyś pytał, zkąd się wziął ogień, którym spłonął w chacie, wespół ze starą? Rozwiązaliby oni tę zagadkę, gdyby rozwiązać mogli węzły zadzierzgnięte na ich szyje!

Są jednak wieści o tém, wieści urokiem osnute! Chceszli je usłyszéć kochanku wdzięcznéj prostoty, pospiesz do chaty siwym mchem porosłéj. Tam długiemi wieczorami obsiędą przodki kominek; tam oganiają sen z oczu powieści, które po swojemu stworzone, od razu się z tobą poznają, bo były dziećmi wraz z tobą; dodawały pokarmu wątłéj dziecinnéj wyobraźni, silnéj dziecinnéj ciekawości! Tyś wyrosł, one dziećmi zostały; ale nie przeto w pogardzie je mieć trzeba. Te dzieci prostaczki nie zamieniły skromnéj, a własnéj sukienki, na wykwintniejszy, a obcy ubiór; nie sprzeniewierzyły się ojcom swoim odszczepieństwem! Tę mają przed nami zasługę! *B........*

(Z Tygod. Liter.)

— Ze Lwowa. —

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 42. i obejmuje przedmioty następujące: 1) O polepszeniu roli nawożeniem innego rodzaju ziemi na nią. 2) Jaki zachować stosunek różnéj paszy w żywieniu bydła lub owiec. 3) Sposób fabrykacyi cukru p. Martin 4) O fabrykacyi cukru ze trzciny. 5) Odpowiedź na artykuł w Tygodniku umieszczony, wiele dni powinna fermentować robota, żeby dobre były wypadki. 6) Środek przeciw pijaństwu. 7) Wiele w Paryżu wychodzi rocznie wołów na mięso. 8) Zdarzenie prawdziwe.

Pisma peryjodyczne, wychodzące w Warszawie: 1. *Magazyn powszechny*; wychodzi arkusz na tydzień; wydawca Glucksberg. 2. *Magazyn mód*; wydawca tenże. 3. *Kosmorama Europy*; arkusz na miesiąc ze czterma rycinami; wydawca tenże. 4. *Podróż malownicza po Europie*; jeden zeszyt na miesiąc, z rycinami; wydawca Franciszek Salezy Dmochowski. 5. *Muzeum domowe*; arkusz na tydzień; wydawca Dmochowski. 6. *Pielgrzym warszawski*; dziennik muzyczny. 7. *Swiat dramatyczny*; dziennik poświęcony wyłącznie teatrowi, jego kronice, tegoczesnéj literaturze i historyi, żywotom, powieściom, humorystyce, nauce i zabawie. Wychodzi trzy razy na miesiąc, w 8. *m.*; wydawca Wojciech Szymanowski. 8. *Tygodnik rolniczo-technologiczny*; arkusz na tydzień; wydawca Nepomucen Kurowski. 9. *Gazeta Warszawska*; przy niéj wychodzi *Swiatowid*; wydawca Krupski. 10. *Korespondent*; wychodzi codziennie, a dwa razy na tydzień dodają się *Rozmaitości*; wydawca Miaskowski. 11. *Gazeta Poranna, w fol.*; wychodzi codziennie. 12. *Gazeta Codzienna*; w 4. *min.*; raz na tydzień dodają się *Rozmaitości*. 13. *Kuryjer Warszawski*; wychodzi codziennie; wydawca Ludwik Dmuszewski. Nadto wychodzą w nieoznaczonym czasie: 14. *Sylwan*; dziennik leśny. 15. *Żywoty SS. Pańskich i ojców kościoła*; wydawane przez Leona Rogalskiego. 16. *Pamiętnik towarzystwa lekarskiego warszawskiego*. 17. *Czytanie pożyteczne i przyjemne* we trzech językach: polskim, francuskim i niemieckim; wydawca Dmochowski.

Literatura iliryjska. Sławiańskie narzecze, którém mówią w Iliryi, Horwacyi, Krainie i Serbii, lubo w tych prowincyjach nie wszędzie jest jednakowe; wszelako odcienia jego tak są nieznaczne, iż znane sławiańskie narzecza pisemne w nowszych czasach zaczęto pomnażać narzeczem nowém, które mianowicie owym prowincyjom jest spólne. Nie jestto narzecze znajomych serbskich pieśni narodowych, jednakże ma wielkie z niém pokrewieństwo i tém nad niém celuje, iż w obszérniejszym i dość zaludnionym kraju powszechnie jest rozumiane. Do wykształcenia tego pisemnego narzecza przyłożyły się w nowszych czasach mianowicie kobiety, do których hrabia Janko Draskowicz, Iliryjczyk, w niemieckim języku wydał odezwę, pod tytułem: »Słowo do szlachetnych córek Ilirvi o dawniejszych dziejach i najnowszém literackiém odrodzeniu się ich ojczyzny.« W téj odezwie okazuje on między innemi, iż miasto Dubrownik jeszcze w 18stym wieku miało własny iliryjski teatr narodowy, i że przeto wielkie znajdują się żywioły do utworzenia z tego nowéj literatury. Dr. Ludwik Gaj, mąż uczony, zajmujący się obecnie skreśleniem dziejów Ilirvi, założył już w Zagrabiu kompletną drukarnię iliryjską, z któréj nie dawno wyszedł zbiór poezyi i powieści w tém narzeczu, pod nazwą: *Pesme i Pripowedke od Ljud. Vukotinowica.*

Literatura francuzka. *Journal des Debats* zawiera wiadomość o rozprawie pana Guizot, która ma być umieszczoną w najbliższym numerze dziennika *Revue français*, pod nazwą: »O katolicyzmie, protestantyzmie i filozofii we Francyi.« Filozofiją (podług określenia pa. Guizot) jest każde mniemanie, nie przypuszczające pod żadną nazwą i pod żadną formą jakkiejkolwiek dla umysłu ludzkiego przymuszonéj wiary, i zostawiające mu tak w religijnych, jakoteż we wszelkich innych rzeczach zupełną wolność wierzenia lub niewierzenia i nadania przez własne badanie umysłowi swemu kierunku. — Rozprawa ta zamierza okazać: że katolicyzm, protestantyzm i filozofija w teraźniejszéj Francyi, tak w moralnéj, jakoteż materyjalnéj zgodzie, nie tracąc bynajmniéj ani praw, ani swojéj istoty, zaszczytnie obok siebie stać mogą. »Zgodę tę w religijnych wyznaniach wiary (tak kończy p. Guizot) nadaje im teraźniejszy stan społeczeński. Zgoda w wolnym sposobie myslenia jestto ich prawny warunek, jestto ich konstytucyja. Oby zdaniem i czynem ją przyjęły, oby z miłością przepisów jéj słuchały! Nie obawiam się losu fałszywego proroka, przepowiadając, że tak religija jak społeczność wieleby na tém zyskały!«

Dostojni muzycy. Następca tronu hanowerskiego czyni znaczne postępy w kompozycyi muzycznéj. W tych dniach wyszedł bardzo piękny utwór z jego pióra. — Syn marszałka Neja napisał operę, która wkrótce będzie przedstawioną w teatrze opery komicznéj w Paryżu. — Książę Eugeniusz Wirtemberski ukończył właśnie wielką operę: *Oblubienica ducha*. Znawcy oddają temu dziełu jak najzaszczytniejsze pochwały.

Biblijoteki belgijskie. W miejskiéj biblijotece w Bruxelli znajduje się 140.000 tomów; w królewskiéj 60.000; w Leodyjum 105.000; w Gandawie 60.000; w Lowanijum 60.000; w Tournaj 27.000; w Antwerpii 14.000; w Mons 22.000; w Namur 12.000; w Bruge 10.000; w Courtray 9.000 tomów. A zatém wszystkie biblijoteki belgijskie obejmują w ogóle 509.000 tomów. Wszelako do téj liczby dodać jeszcze należy 190.000 tomów ustawionych w książnicach, które dla publiczności są zamknięte, jak np: w izbie reprezentantów, akademii, szkołach wojskowych, w seminaryjach w Gandawie, Bruge, Namur i t. p. Co do rękopisów, książnice belgijskie nierównie są zamożniejsze, chociaż w pięćdziesięciu latach ostatnich wielkie pod tym względem poniosły szkody. Liczbę ich na 19.000 szacować można.

Moliere. Nie raz okoliczność bardzo mało znacząca sama przez się, kilka słów wymówionych przypadkiem, wywarły stanowczy wpływ na umysłowy kierunek i wykształcenie człowieka. Ojciec Moliera i dziad jego prowadzili handel obiciami, a wnuk miał podobnież trudnić się tym samym handlem. Dziad Moliera lubiał teatr, i uczęszczając doń nie raz brał z sobą swego wnuka. Ojciec niekontent z tego, wyrzekł pewnego razu z gniewem: »Nareszcie z chłopca tego nic nie będzie, jak aktor.« —

»Dałby Bóg!« odrzekł dziad, »aby był takim, jak Montrose, wtedy szczyciłbym się mym wnukiem.« Słowa te głęboko utkwiły w Molierze. Po upływie kilku miesięcy, poświęcił się teżże całkiem dla teatru i został doskonałym komikiem, który jeszcze po dziś dzień pod wielu względami jest jedynym.

Początki pierwszego komika francuzkiego. W r. 1665 cały Paryż rozprawiał o dziwowisku, które zabobonni ludzie mniemali być czartowskiém dziełem. Dowiedziano się, iż na jarmarku w St. Germain był *szpinet* (narzędzie muzyczne, w którém podówczas wielkie miano upodobanie), wykonywujący sam przez się bez wszelkiéj pomocy najprzyjemniejsze i najtrudniejsze aryje. W salonach nie rozmawiano o niczém, jak o *szpinecie*. Jakoż w saméj rzeczy tajemniczy instrument ten, złożony z skrzynki, mającéj trzy stopy długości, a półtory stopy szerokości, i opatrzony trzema klawikortami, był w najwyższym stopniu godny uwagi. Dwoje dzieci grało na dwóch klawikortach aryję, a trzeci klawikort powtarzał sam przez się tę aryję z największą dokładnością. Jeżeli zaś kto sobie życzył, aby trzeci klawikort grał sam bez towarzystwa dwojga dzieci, wtedy odbywało się to z większą trudnością. Właściciel przymuszony był wielkim kluczem nakręcać koło, które wewnątrz téj machiny straszny łoskot sprawiało. Po skończonem tém przygotowaniu grał *szpinet* dwie, trzy albo i cztéry aryje. A skoro wyrzeczono: »Przestań!« *szpinet* natychmiast milknął, albo gdy rozkazano: »Odmień aryję!« *szpinet* przestawał, i inną aryję grać zaczynał. Wszyscy obecni nie mogli się dosyć nadziwić i dumnymi byli z swéj władzy, iż *szpinetowi* dawać mogli rozkazy, i z tego powodu mnóstwo znacznych osób na jarmark w St. Germain uczęszczało. Niektóre płytko myślące głowy zaczęły nareszcie upatrywać w tém czarodziejstwo i umiejętność kabalistyczną. Utrzymywano, iż *szpinet* jest dziełem czartowskiém, w końcu przyszło do tego, iż właściciela, który był organistą w pewnem małém miasteczku, razem z jego muzycznem narzędziem spalić chciano. — Rzecz ta doniosła się do króla, ale Ludwik XIV. nie wierzył w czary, i chciał widzieć *szpinet* na własne oczy. Pewnego dnia, gdy na jarmarku zapowiedziano: »Szpinet czartowski grać będzie dzisiaj aryje nadzwyczajne!« oddział żołnierzy przybył niespodzianie do budy na placu jarmarkowym, i schwyciwszy właściciela z *szpinetem*, w przeciągu pięciu kwadransów stawił go przed królem i królową w Wersalu. Właściciel, ujrzawszy się w obecności monarchy zadrżał na całém ciele i nie mógł się uspokoić, chociaż Ludwik XIV. napominał go z umiarkowaniem, iż będąc czarownikiem powinien być nieustraszonym. Właściciel chciał odpowiedzieć, ale słowa na ustach mu skonały. Król widząc jego pomieszanie obrócił się wprost do *szpinetu* i rzekł: »*Szpinecie*, zagrajno mi jaką aryję.« *Szpinet* zaczął grać. Królowa widząc to, przestraszyła się tak dalece, iż omal nie zemdlała. Ludwik XIV. uspokoił ją i gdy z bacznością zaczął rozpoznawać powierzchowny skład instrumentu, usłyszał nagle wewnątrz skrzynki wrzask przeraźliwy. Z szybkością błyskawicy poskoczył właściciel do *szpinetu* i pocisnął skrytą sprężynę. W okamgnieniu otworzył się *szpinet*, a ze środka jego wyskoczył chłopczyk nie mający więcej jak dwie stóp wysokości, na którego twarzy mieniły się wszystkie kolory, i powitał króla temi wyrazy: »Co za nierozsądek, tak długo mnie trzymać w téj skrzynce. Myślałem niezawodnie, że się uduszę.« — Ludwik XIV. roześmiał się, osądził to czartowstwo za rzecz bardzo niewinną i przyrzekł zamilczéć tajemnicę, lecz nie dotrzymał słowa. W krótkim czasie rozgłoszono cały ten wypadek, a czarownik, obawiając się umrzéć z głodu, przymuszony był obmyśléć dla siebie inny plan zarobkowania. Postanowił z siebie, swojéj żony i trojga swoich dzieci uformować towarzystwo aktorów; w tym celu napisał dwie sztuki dla pięciu osób, i tym repertoarzem przez lat dwadzieścia zarabiał sobie na utrzymanie. Towarzystwo to pomnożyło się z czasem i zostało jednem z najlepszych w miastach prowincyjonalnych. Pośród tego towarzystwa był jeden komik bardzo dowcipny i nadzwyczaj zabawny, który tak zły jak dobry los jednakim przyjmował umysłem. Grywał on raz na wielkim teatrze, raz znowu w prostéj stodole; był bowiem tego zdania, że kto pierwszy raz występował przed publicznością w skrzynce *szpinetu*, ten w scenach przebierać nie powinien. Aktor ten w r. 1700 był zaszczytnym artystą w *Théatre français* i zwał się Raison.

Popularność Waltera Szkotta. Walter Szkott przyjechał był w lecie r. 1821 do Londynu na koronacyję Jérzego IV., który, jak wiadomo, wielce cenił tego poetę. Gdy pod wieczór w dzień koronacyi zakończył się bal uroczysty, Walter Szkott odesławszy swój powóz, zamyślił w towarzystwie pewnego młodego mężczyzny udać się pieszo z Westminsteru do swego pomieszkania. Działo się to między drugą a trzecią godziną w nocy. Atoli w poblizkości Whitehall zastali obadwaj tak wielki natłok ludu, iż młody mężczyzna obawiał się, aby Walter Szkott, który dla utykania na jednę nogę, nie mógł iść spiesznym krokiem, przy téj sposobności nie został uszkodzonym. Jedna część ulicy, dla utrzymania wolnego przejścia osobom wyższéj klasy, zajęta była oddziałem szaréj, szkockiej gwardyi *(the Scots greys)*. Walter Szkott, chcąc się dostać na ulicę w miejsce, gdzie nie było tak wielkiéj ciżby, udał się do jednego sierżanta z prośbą, by mu pozwolił razem z jego towarzyszem przejść pomiędzy szeregi. Żółniérz odrzekł krótko, iż to być nie może, ponieważ zakazano. Podczas gdy Walter Szkott starał się go namawiać, ciżba stawała się coraz większą, a młody towarzysz jego zawołał na głos z obawy: »Mości Walter Szkott, miej się na ostrożności!« Zaledwie sierżant usłyszał te słowa, rzekł z zadziwieniem: »Jako, to by miał być Walter Szkott? Jeżeli tak, dla niego wszędzie wolne przejście!« I zwróciwszy się do swoich ludzi: »Bracia, to jest Walter Szkott. Wolny przechód dla naszego sławnego ziomka!« Rozkaz ten wypełniono natychmiast; wszyscy cofnęli się w tył z uszanowaniem, a śród głośnych okrzyków: »Boże zachowaj nam Waltera Szkotta!« dostał się poeta na bezpieczne miejsce.

Państwo muzykalne. Mozart, królem; Händel, głową duchowieństwa; Gluck, pierwszym ministrem; Mehul, pierwszym sekretarzem ministra; Hayden, kanclerzem państwa i tajnym radzcą królewskim; Beethoven, naczelnym jenerałem; Cherubini, naczelnym zwierzchnikiem szkół, akademii i uniwersytetów; Bach, naczelnym prezydentem najwyższego trybunału, w towarzystwie jego wszyscy adwokaci; Spontini, jenerałem artyleryi; Spohr, dyrektorem pokojowéj muzyki królewskiéj; Paer, naczelnym dozorcą królewskich zbiorów kunsztu; M. v. Weber, nadzorcą opery niemieckiéj; Rossini, cukiernikiem nadwornym.

Chełpliwy kompozyta. Pewien kompozyta, równie ograniczony jak zarozumiały, skarżył się przed jednem towarzystwem na błędy drukarskie, które zawsze szpeciły jego dzieła. »Nie dawno temu,« tak ubolewał, »kazałem wydrukować piosenkę, która nie chlubiąc się, pozyskała nadzwyczajne pochwały; ale niestety! z jakiemiż wydrukowano ją błędami!« — »Prawda,« odezwał się pewien obecny, bardzo zdatny, a przytém dowcipny muzyk, »zaraz na początku piérwsza nóta była całkiem bez głowy!«

Redaktor Jan Nep Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*